ŁOWIEC POLSKI



Z minionych dni. W Pilawinie.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 10. (565) 8 MARCA 1930 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

PROŚBA O NUMERY STYCZNIOWE.

Niespodziewanie duży napływ nowych prenumeratorów „Łowca Polskiego" spowodował wyczerpanie numerów styczniowych. Zwracamy się przeto z uprzejmą prośbą do PP. Prenumeratorów, którzy nie kompletują roczników, — o łaskawe odesłanie z powrotem numerów ze stycznia, na koszt redakcji. Najwięcej poszukiwany jest numer 1-szy roku bieżącego.

ADMIN. „ŁOWCA POLSKIEGO"

Zaufanie do psa.

— I takiego ślicznego swego psa chcesz dać Alfredostwu na podarunek ślubny?

— O droga pani! Pies ten bardzo do mnie przywiązany... On powróci.



Simba. Fot. Aleksander Janta-Połczyński.

ECHA ŁOWIECKIEJ AFRYKI.

Przygody łowieckie, w ostatnich czasach zwłaszcza, coraz liczniejszych zyskują czytelników. Niewyczerpanem źródłem tematów jest żywioł myśliwski, a przyroda bogactwem tła nadaje im coraz to inne zabarwienie, coraz odmienniejszy ton. Myślistwo prowadzi dalej, — odsłania wrażliwemu obserwatorowi tajemnice życia zwierzęcego, uczy go rozumieć wymowę roślin; z namiętności, z zamiłowania do strzelby zwolna przeprowadza człowieka w świat przyrody samej, dalekiej od świata ludzi, pozwalając mu wnikać głębiej i wczuwać się lepiej, niż ktoś, kto rozkoszy łowu nigdy nie zaznał, — w jego urok, nie zawsze uchwytny, w jego piękno, zawsze podniosłe.

Chęć zdobycia wrażeń w pierwszym rzędzie, w początkowym odruchu, kieruje na mozolne wyprawy po trofea, człowieka myślistwu obcego, w krótkim czasie przeobraża w łowcę, tęsknota za wrażeniami poprostu wciąga w życie wsi i puszcz i pustyń, kusząc obietnicami spotkań niezwykłych, wspaniałych, pamiętnych. Znamy je wszyscy z opowiadań i opisów, ale pragniemy przeżywać je sami. Szukamy ich nieustannie, każdy innych i każdy gdzieindziej. Niejednym pola skrawek wystarczy, albo wystarczyć musi, inni obszary rozległe przemierzyć gotowi, a są tacy, których celem w wyprawach jest niedostępna dżungla Indyj, albo puszczą dziewiczą porosłe brzegi Konga,— któżby granice kładł pragnieniu przygód?

Szukamy ich wszyscy, na stanowisku, czy w podchodzie, za psami czy w obławie, każdy innych a każdy silniejszych. Bo właśnie napięciem, siłą — lęku, niepokoju, niepewności przeżytej, zawodów doznanych, mierzymy po ukończonej w triumfie wyprawie, we wspomnieniach jej łowiecką wartość!

I ta oto tęsknota za siłą wrażeń łowieckich, udzielająca się wszystkim (wszak wspomniałem, że przygody łowieckie coraz więcej zyskują czytelników) niezwykłym urokiem napiętnowała łowy egzotyczne, najbardziej jeszcze zbliżone do tych pierwotnych czasów, kiedy oko w oko z niebezpieczeństwem zaczepionego zwierza człowiek do walki stawać musiał, kiedy w niej ginął, bywało.

Od czasów Stanley'a i Livingstone'a na zdobycie tajemnic Afryki wyrusza rok rocznie olbrzymi zastęp myśliwych całego świata. Nie dziw przeto, że łowiecki odłam światowego rynku wydawniczego zalany jest literaturą na temat łowów egzotycznych.

Rację mają szczęśliwi autorzy wspomnień z łowów bliskich równika, rację mają, że piszą. Trudno nie dzielić się z rzeszą spragnionych wrażeń czytelników przeżyciami, po jakie się jedzie. Wielu takich, którzy

sami nie czują się na siłach, bierze z sobą sekretarza, który wrażenia chlebodawcy nie zawsze ściśle, ale zawsze barwnie utrwala z pomocą typewritera „na gorąco".

Temu rozpowszechnieniu się pamiętnikarstwa łowiecko-podróżniczego odnośnie do krajów egzotycznych, zawdzięczać należy niewątpliwie powstawanie szeregu nigdy niesprawdzonych legend, opowieści niezwykłych a sensacją nabrzmiałych, niesamowitych wiadomości, krążących około mieszkańców pustyni i puszczy.

To też dobrze się jest czasem przypatrzeć ich życiu, przez pryzmat książki choćby (skoro tymczasem zrezygnować trzeba z nadziei przyglądania się jemu przez pryzmat szkieł własnej lornetki myśliwskiej), której autor nie rezygnują wcale z ambicyj literackich, zestawia poglądy szeregu wielkich, afrykańskich myśliwych, sławnych „big game hunter", na rozmaite przejawy życia zwierza, pod zwrotnikiem łowionego, porównywa je z zapatrywaniami tubylców, wreszcie daje im uwagami z własnych doświadczeń i obserwacyj krytyczne oświetlenie. Powiedzmy zaraz, że będzie to oświetlenie dostatecznie kompetentne. René Gouzy, podróżnik szwajcarski jest autorem trzech już książek o Afryce *). Czwarta, ostatnio wydana, nosi tytuł „Histoires des lions et des autres seigneurs". Treść jej wypełniają właśnie spostrzeżenia i przygody z królewskimi przedstawicielami fauny Czarnego Lądu.

Znajdzie się w niej nazwiska i autorytety łowieckie dawnych, przedwojennych czasów, rzecz szczególna, obfitszych w krwawe wypadki, podobne tym, jaki np. w dn. 6 czerwca 1900 r. spotkał na stacji Kimaa pp. Ryalla, Huebnera i Parentiego, jadących pociągiem do Nairobi, gdy w czasie dłuższego postoju, do przedziału, w którym się zdrzemnęli, wpakował się lew i porwał Ryall'a w oczach przerażonych a bezbronnych towarzyszy.

Spory rozdział zajmą tragiczne przygody płk. Patersona albo Ben Burbridge'a, który jeden z pierwszych, obok Akeley'a i Riquet'a, filmował goryle.

Spotkamy wreszcie znajomych, Martina i Ozę Johnson, na obserwacjach i zdaniu których opiera się Gouzy często i najchętniej.

Sam on zresztą, jak to wynika z przytoczonych tytułów książek, Afrykę zna doskonale. Oprócz długotrwałego pobytu w jej wschodnich częściach, najbogatszych w zwierzynę, przeleciał ją, jako towarzysz słynnego Mittelholzera (którego ostatni rekord, przelot nad Kilimandżaro, notowały niedawno pisma). Miał okazję autentyczność podanych przez siebie faktów na miejscu stwierdzić, podaje tylko te, co do których nie miał żadnej wątpliwości.

To też książka jego jest komentarzem, wyjaśniającym niejedne, na temat tajemnic Afryki pokutujące przesądy; przewodnikiem dla tych zwłaszcza, którzy wyłącznie polegać muszą na mniej lub więcej bujnych sprawozdaniach bywalców afrykańskich.

Interesuje nas specjalnie zapatrywanie Gouzy'ego na ludożerstwo i zaczepność „simby". Cytuje wprawdzie niejedne „men-eaters"(t. j. lwy jedzące ludzi), ale wypadki z niemi bez wyjątku odnoszą się, jak wspomniałem, do czasów sięgających przed wojną. Nie neguje ich istnienia, ale je też tłumaczy stwierdzeniem, że wszystkie tragiczne epilogi spotkań sprowokowane są zazwyczaj przez samego człowieka. Lew, którego człowiek zaczepił, ranił czy choćby rozdrażnił, jeśli się rzuci i pokona niefortunnego myśliwca, odtąd już zazwyczaj nie przepuszcza żadnej ponownej okazji. Zakosztował ludzkiego mięsa, będzie na nie czyhał, będzie chciał nadal zwyciężać, jak wtedy, gdy uniósłszy pierwszą ofiarę, mógł się spokojnie nasycić zemstą — i mięsem. I te lwy właśnie bywają niebezpieczne. Jest ich niewiele. Tubylcy zwykle wiedzą o nich, przerażenie niesie tę wieść po całej okolicy.

Cytując dość obszernie przygody z nimi, Gouzy okazuje się zwolennikiem tezy postawionej przez Akeley'a, a potwierdzonej świetnym filmem Johnson'a: — oto lew nie jest dla człowieka niebezpieczny, byle ten pozwolił mu chodzić swojemi drogami, nie drażnił go i nie zaczepiał. Półżartem stwierdza jednak, że pewniej się człowiek czuje w Afryce, będąc na ten temat pesymistą i wyciągając z takiego zapatrywania konsekwencje „ochronne".

Z dalszych, ciekawych szczegółów omawianej książki, do zanotowania są uwagi na temat sławnych cmentarzysk słonich, których podobno nikt jeszcze nie widział, a które są tajemnicą niektórych szczepów, których kacykowie sprzedają nieraz olbrzymie zapasy „martwej" kości słoniowej handlarzom.

Udane próby oswajania i tresury afrykańskiego słonia, wzruszające opowiadania o szympansach, dalej krokodyle, o których mówią „tego się nie strzela, to się bije (w rzeźnickiem znaczeniu)", hipopotamy, nosorożce i wreszcie goryle, oto przedmiot reszty barwnych rozdziałów przygód afrykańskich.

Książka Gouzy'ego uprzystępnia wiele zagadnień związanych z dżunglą Afryki i jej stosunkiem do ludzi wogóle, do myśliwych zaś w szczególności; odsłania ciekawe szczegóły jej życia, swojem szerokiem ujęciem porównawczem niejedno powie tym zwłaszcza, którzy o pierwszej wyprawie po trofea wrażeń egzotycznych myślą; tym nawet, którzy znają Afrykę w jej łowieckiem, niewyczerpanem bogactwie i pięknie.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



Fot. Zb. hr. Walewski

*) Des gorilles, des nains, et même... des hommes. Au grand soleil d'Afrique. Le raid aerien suisse-transafricain.



O POLOWANIU NA ŁOSIE W NORWEGJI.

Dokończenie. (Zob. Nr. 9).

Odstraszony takim wynikiem, używałem w Norwegji na łosie wyłącznie karabin 5-strzałowy Mausera kal. 11 mm. z nabojem zawierającym 4.5 gr. Rottweilera i 2 rodzaje pocisków 4/5 pancerza niklowego i cały z drążonym czubkiem. Zdawało mi się, że pierwszy był skuteczniejszy. Z tej broni nie chybiłem żadnego łosia, chociaż strzelałem na odległość aż do 300 m., nie używając lunety, ze strzelanych zaś wszystkie padły mi prawie na oczach, choć nie zawsze po pierwszym strzale. Przyzwyczajonym do tego radzę używać lunety, lecz nie nosić osadzonej na lufie, gdyż łatwo delikatny instrument uszkodzić przy bardzo możliwych upadkach w trudnym terenie. Pozatem w razie nagłego spotkania i konieczności rzutowego strzału na bliską metę luneta raczej zawadza. Lepiej zatem nosić ją przewieszoną przez plecy w sztywnym futerale. Przy ewentualnym, dalekim strzale zawsze jest czasu dosyć, żeby lunetę wydobyć i osadzić. Trzeba jednak pamiętać, że strzelajac z grubego kalibru, powiedzmy na 300 m., wypadnie nastawić lunetę na taką metę, przyczem pomyłki nie są wykluczone. Nie potrzebuję chyba dodawać, że dobra lornetka Zeissa lub inna pryzmatyczna jest niezbędna w Norwegji, jak na każdem górskiem polowaniu. Przyda się także dobry kompas turystyczny.

V. Koszta podróży i polowania, obliczone na 1 miesiąc z wycieczkami krajoznawczemi:

droga tam i z powrotem.	zł. 1.000
wynajęcie rewiru	„ 2.000
opłata przewodnika, mieszkania, zasługi kucharki, aprowizacja.	„ 1.000
różne inne wydatki i opłaty, w tem karta łowiecka 100 kronerów	„ 1.000
razem	zł. 5.000

Co się tyczy poróży, zalecam podróż morską statkiem pasażerskim ze Szczecina do Oslo. Statki te zatrzymują się przez dzień w Kopenhadze. Kto nie znosi podróży morskiej, może obrać drogę na Berlin-Sassnitz—6 godzin ferryboatem—Trelleborg—Malmö—Göteborg—Oslo. Najtańszym przejazdem byłaby droga morska z Gdańska do Oslo. O ile wiem, nie kursują jednak na tej linji statki pasażerskie. Więc trzebaby się zawczasu postarać o przejazd grzecznościowy na statku handlowym. Dalszą podróż odbywa się koleją do Trondhjem; za czasów, kiedy ja tam polowałem, kolej dochodziła tylko do Sunnan nad jeziorem Snaasen. Ztamtąd przejeżdżało się statkiem na drugi koniec jeziora, gdzie najmowało się konie pocztowe. Ja np. z miejscowości Vekset nad jeziorem Snaasen, musiałem jechać jeszcze 180 kl. końmi pocztowymi. Ponieważ jedynym wehikułem były kariole, dwukołowe kabriolety, o jednem siedzeniu w kształcie siadówki, zaprzężone w jednego konia, potrzebowałem na przejazd dla przewodnika, kucharki, zupełnie niepotrzebnego strzelca i dla siebie 4 kariole i prócz tego 2 dwukołowe platformy pod rzeczy. Była to więc karawana z sześciu powózek. Podróż nużąca i nudna, mimo niskiej opłaty za klm., kosztowała więcej niż przejazd koleją z Oslo do Trondhjem. Dziś kolej idzie do Grong i Namsos, po gościńcach chodzą autobusy, tak, iż wszędzie dojedzie się szybko i wygodnie.

Pozwolę sobie jeszcze w końcu, dla okraszenia jałowego tekstu przytoczyć kilka typowych przeżyć łowieckich z polowania na łosie.

Wiatr wiał od południowego zachodu i pogoda była słoneczna. Wyszedłszy rankiem z domu, siedliśmy na łódkę i przejechaliśmy na drugi koniec podłużnego jeziora Holden. Wpływa tam do jeziora nieduża rzeczka z północnego zachodu, wijąca się przez rozległe mszary. Już w tem bagnie natrafiliśmy na podwójny ślad, widocznie byka i klępy. Ślady prowa-

dziły od rzeczki ku lesistym, południowym stokom jeziora. Stok był stromy i gęsto zalesiony świerczyną. Wysoko ponad granicą lasu czerniały śpiczaste szczyty Store i Lille Klokklumpen. Posuwaliśmy się przez las bardzo wolno i ostrożnie. Wciąż trzeba było rozpoznawać ślady, widocznie równie świeże, gdy pies gorącował się tak do jednych jak i do drugich. Łosie szły pod górę zakosami, często rozchodząc się i przystawając. Trzeba się było wystrzegać kluczenia, żeby ich przedwcześnie nie spłoszyć. Zatrzymywaliśmy się więc często, obserwując zachowanie psa. Dotarliśmy w taki sposób do granicy zalesienia i kosodrzewiny brzozowej. Łosi tam nie było. Tymczasem minęło już południe. Postanowiliśmy odpocząć nieco i przekąsić, ażeby potem znów dalej śledzić za tropem. Podczas tego miłego wywczasu, wziąłem mimowoli do rąk Zeissa, żeby przepatrzeć piętrzące się przedemną piargi i upłazy. Uderza mię na mchach jakaś ciemniejsza plama. Obserwując ją uważnie, dostrzegłem jakieś nieznane ruchy i wkrótce odkryłem kontury

Klępa leżała przedemną na jakie 100 m. Ciężki łeb zwróciła w stronę, gdzie się ukrywał przewodnik z psem, i pilnie strzygła słuchami, widocznie zaniepokojona. Byk leżał spokojnie, bez ruchu, o jakie 50 m. dalej Obydwie sztuki miałem na kulawy sztych. Nagle klępa wstała, byk podniósł się za jej przykładem i postąpił parę kroków ku niej. Nie było czasu do stracenia. Wymierzywszy, jak mogłem najdokładniej w przód łopatki byka, pociągnąłem za cyngiel. Obydwa łosie ruszyły truchtem. Już miałem strzelić do byka po raz drugi, kiedy zauważyłem, że się potknął w biegu i całym ciężarem runął naprzód. Klępa, nie obejrzawszy się, uchodziła szybkim kłusem. Stałem nad powalonym olbrzymem, podziwiając szerokie łopaty. Odczuwałem zadowolenie z udanego podejścia i chwaliłem sobie swoją broń. Kula weszła tam, gdzie mierzyłem, z przodu łopatki, i wyszła, przebiwszy żebro. Łoś uszedł jakie 50 m., zanim padł. Rozmyślania moje przerwało nadejście przewodnika z psem, który skomląc, wyrywał się do zabitego zwierza. Norweg widocz-



Transport zabitego łosia. Fot. L. Rzyszczewski.

klępy, leżącej na mchu. Zdradzały ją jedynie poruszające się od czasu do czasu słuchy. Oczywiście musiał i byk być w pobliżu. Przeszukując teren przed nami piędź na piędzią. odkryliśmy go wreszcie. Spoczywał na upłazie u stóp piramidy szczytowej, a na czarnem jej tle występowały jedynie jego jasno orzechowe łopaty. Łosie spoczywały przed nami w odległości jakich 500 m. Na prawo od nas głęboko wyżłobioną debrą spływał potok górski. Spadu tej debry łosie nie mogły widzieć; wiatr był dobry. Pozostawiwszy z przewodnikiem cały zbyteczny rynsztunek, z karabinem tylko i lornetką obszedłem lasem i zacząłem się skradać pod górę łożyskiem strumyka. Coraz niżej musiałem się chylić, aż wkońcu nie pozostało mi nic innego jak pełzać przez wodę i bagno. Chociaż przemokłem wkrótce na kolanach i na łokciach, nie odczuwałem tego w zapale. Przebywszy mozolnie około 300 m., skierowałem się pod lewy brzeg debry, żeby się jeszcze nieco przybliżyć. Wreszcie, gdym już dojrzał zwierzynę, przysiadłem zasłonięty krzakiem brzeziny.

nie był rad, ale żałował zapewne, żem przepuścił okazję zabicia także drugiej sztuki. Po zastanowieniu dziwiło mnie, że pies, choć zwierzyna była nie dalej jak pół kilometra, zachowywał się względnie spokojnie. Tłumaczę to sobie tem, że łosie leżały znacznie powyżej naszego stanowiska, tak, iż wiatr od nich musiał przechodzić górą ponad nami.

Jest to typowy przykład normalnego i udatnego polowania z psem po tropie, mianowicie: podjęcie tropu rankiem, wyprowadzenie go ponad granicę zalesienia, spotkanie zwierza na halach i zakończenie polowania strzałem po południu. Niestety, wobec niestałej pogody jesiennej, taki normalny przebieg polowania raczej do wyjątków należy.

Po nieudałym za łosiem pościgu, zakończonym spłoszeniem niewidocznego dla nas zwierza, wracaliśmy w godzinach popołudniowych wzdłuż północnego wybrzeża jeziora Holden ku domowi. Brzeg ten tworzyło pasmo niewysokich wzgórz, gęsto zarosłych mieszaniną świerku, brzozy, osiki i różnych innych li-

ściastych drzew i krzewów. Słaby wiatr wiał od wschodu, ale kręcił w lesie. Szliśmy dość szybko, o ile na to pozwalało bezdroże. Nagle stary pies, który dotąd szedł leniwo i bez ochoty, ożywił się i z nosem wzniesionym pociągnął naprzód. Norweg odwórcił się do mnie i szepnął: „elg". Zaczęliśmy skradać się ostrożnie za psem. Wtem norweg zatrzymał się i wskazał ręką. Zrównałem się z nim. Norweg mamrotał w najwyższem podnieceniu: „stor oks, skyt" *); Promienie zachodzącego słońca, przenikające gęstwinę gałęzi i liści, rzucały dziwne i mylne półświatła i cienie. Zrazu nie mogłem nic rozpoznać. Nagle dostrzegłem białawe nogi łosia. Stał na połać, nieco ukryty krzakami, niedalej jak 60 m. Szybko wymierzyłem w komorę i dałem ognia. Zwierz ruszył przed siebie; zanim znikł mi z oczu, zdołałem strzelić raz jeszcze. Przez chwilę słyszeliśmy tentent, a potem łomot padającego zwierza. Pies, skomląc z podniecenia, rwał naprzód. Podążyliśmy za nim i po kilkudziesięciu krokach natknęliśmy się na ubitego łosia. Leżał na boku martwy. Średni łopatacz. Na komorze widniały dwa strzały.

Jest to przykład przypadkowego spotkania. Bez psa jednakże nie bylibyśmy łosia zauważyli i prawdopodobnie minęli go i spłoszyli.

W innym roku miałem rewir rządowy nad morzem. Był to skalisty półwysep sterczący w morze i pokryty lasem. W pośrodku wznosił się ostry grzbiet górski wysoko ponad granicę drzewostanu. Tylko na samym cyplu była przystań, przy niej kram i osada ludzka. Zresztą głuche tu było pustkowie i na obrębie jakich 10 kwadratowych kilometrów nie było śladu człowieka. O 1 km. od przystani, nad rybnem jeziorem, stał domek leśniczego, u którego mieszkałem. Fatalna była pogoda. Na morzu szalał wicher, tak, iż dopiero 11 września (polowanie rozpoczynało się 10.) z trudem udało mi się dobić do przystani na małym stateczku parowym. Przez pierwsze kilka dni nie widzieliśmy niczego, chociaż pełno było śladów i stan łosi widocznie świetny. Pogoda nie chciała się poprawić. Uporczywie dął zimny wicher ze śniegiem i deszczem. Łosie nie wychodziły z gąszczu. Mówiłem wtenczas już nieco po norwesku i mogłem się nieźle porozumieć ze swoim przewodnikiem. Miał on psa starego, który chociaż głuchy jak pień, węch miał świetny. Dziwiła mnie w tej północnej strefie — 65 stopień półn. szerok. — obfitość żmij. Codziennie spotykaliśmy te wstrętne gady pojedyńczo i parami. Czwartego czy piątego dnia szliśmy grzbietem pasma zalesionych wzgórz. Sam grzbiet był łysy i porośnięty trawą. Wtem stary pies, idący dotąd tępo i niechętnie, pociągnął naprzód i węsząc, stanął nad gęsto zalesionym stokiem. Stanęliłmy, wpatrzeni w las u naszych stóp. Nagle, bezpośrednio przed psem, który wciąż węszył ze wzniesionym łbem, ujrzałem żmiję zwiniętą w kłębek i gotową do rzutu. Chwyciłem psa za otok i szarpnąłem go wstecz. Przewodnik, zobaczywszy niebezpieczeństwo, natychmiast przydepnął gada i zabił go. Rozważaliśmy co robić. Norweg chciał zejść w las i szukać tropu. Sprzeciwiałem się temu, twierdząc, że tylko spłoszymy zwierza. Proponowałem, że sam wrócę na miejsce, które dopiero co minęliśmy. Było to urwisko, gdzie niegdyś wskutek erozji pół wzgórza runęło w dół, tworząc u stóp skalistej ściany, kilkadziesiąt m. wysokiej, zwalisko głazów i piargu, które już pokryły ciemnozielone mchy, gęste paprocie i maliny. Tam chciałem czekać. Przewodnik natomiast miał podążyć dalej grzbietem jeszcze ze 2 km., zejść w las i powoli z wiatrem iść ku ściance. Taki sposób był dlań nowy i nieznany, ale ostatecznie zgodził się popróbować. Ja tymczasem usiadłem sobie na krańcu urwiska i czekałem. Obudził mnie z zadumy jakiś szmer w lesie. Spojrzałem w dół i ujrzałem łosia, który właśnie wychodził z lasu na piargi. Łatwo poznałem przez lornetkę, że był to lichy śpiczak o krętych, baranich rogach. Jako zdobycz nie nęcił mnie zupełnie, ale chciałem wreszcie przerwać serję niepowodzień; nęciła mnie pozatem chęć zdobycia świeżego mięsa, o które w tem odludziu było niezmiernie trudno, podczas gdy rybna djeta już mi się



Lapończyk z reniferami (Finmarken). Fot. L. Rzyszczewski

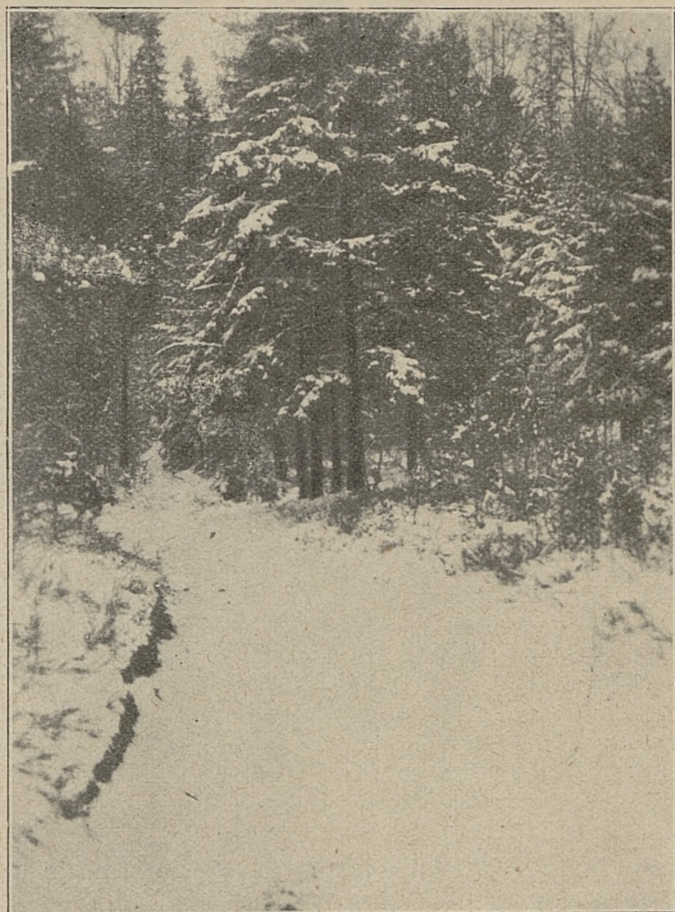
*) Wielki byk, strzelaj!

srodze sprzykrzyła; wreszcie zaś—i o to mi chodziło najwięcej—chciałem zachęcić swojego przewodnika. Łoś stał prawie prostopadle podemną. Mierząc tedy w krzyże, dałem ognia. Łoś zwalił się na miejscu. Musiałem obchodzić dosyć daleko, żeby się do niego dostać. Wyszedł tymczasem norweg z psem i ogromnie się uradował na widok mojej marnej zdobyczy, której ja się raczej wstydziłem, ciesząc się jedynie z udatnego polowania i trafnego strzału.

Nazajutrz pogoda była równie fatalna. Wiał przenikliwy, zimny wiatr z deszczem. Poszliśmy w inną stronę. Zupełnie podobnie jak poprzedniego dnia, pies wskazał nam bliskość zwierzyny. Zeszliśmy kawałek w las i natrafiliśmy tam na podwójny ślad łosia i klępy; poszliśmy za śladami, aby się zorjentować co do ich kierunku. Dalsze jednak chodzenie za nimi zdawało mi się beznadziejnem w gęstym lesie. Dziś nie potrzebowałem już przewodnika namawiać. Sam zgłosił się napędzić mi zwierzynę. Trudno było mi znaleźć w lesie jakieś widniejsze miejsce. W końcu stanąłem ponad strumykiem, nieco powyżej wchodowych śladów. Przyznam się, że niewielką miałem tutaj nadzieję, i raczej obawiałem się tego, że mnie łosie gdzieś miną w taki sposób, że ich nawet nie zobaczę. Zimno było i niebawem przemokłem od deszczu. Ostatecznie palce tak mi zgrabiały, że zwątpiłem, czy wogóle będę mógł strzelić. Wtem usłyszałem przed sobą łomot. Łoś, wspaniały łopatacz, sadził wprost na mnie. Za nim biegła klępa. Strzeliłem pierwszy raz na jakie 60 m. Nie zauważyłem żadnego skutku ani zmiany kierunku. Strzeliłem jeszcze raz. Łoś szedł wciąż, choć widziałem już gołem okiem, że ciężko ranny. Przesadził jeszcze strumyk i zwalił się jak kłoda, kilkanaście kroków przedemną. Obejrzałem swoją zdobycz. Był to wspaniały byk o rozłożystych, szerokich łopatach. Obie kule, wymierzone na sztych, były trafione. Z trudem udało mi się na deszczu rozniecić ognisko. Po dobrej chwili nadszedł po tropie przewodnik z psem. Nie mówił wiele, ale widocznie udatny wynik tej nowej metody niemałe na nim wywarł wrażenie. Wracając do domu, mieliśmy jeszcze przypadkowe spotkanie z łosiem. W któremś miejscu wśród lasu pies nagle podniósł głowę i pociągnął w bok. Poszliśmy ostrożnie za nim. Wtem norweg obrócił się ku mnie i wskazał palcem. W gęstym lesie ujrzałem kontury łopatacza. Strzeliłem szybko, prawie z przyrzutu. Łoś ruszył i dopiero po drugim strzale runął. Tęgi łopatacz, niegorszy od pierwszego. Jak na jeden dzień, był to rezultat wspaniały, można powiedzieć wyjątkowy w norweskiem polowaniu, zwłaszcza w tak niekorzystną pogodę.

Dużo widziałem i obserwowałem w tym rewirze. Mnóstwo tam było wszelkiej zwierzyny, a pustkowie takie, żem nigdy nie natknął się na człowieka. Swoją drogą łosi strzelanych nie można było transportować. Musieliśmy je na miejscu ćwiartować i mięso przenosić w koszach. Jedynie pogoda stale nie dopisywała. Mimo to i tutaj udało mi się raz upolować łosia w sposób normalny, podchodząc po tropie, chociaż warunki były tego rodzaju, że właściwie bylibyśmy się i bez psa obeszli.

Któregoś poranka budząc się, zobaczyłem, że na dworze śnieg sypie jak z worka. Szybko ubrałem się i zjadłem śniadanie. Krajobraz był zupełnie zimowy i wszystko pokryte cienką warstwą mokrego śniegu. Cicho było i prawie bez wiaru. Także i norweg był podniecony, gdyż mieliśmy użyć polowania, jakie chyba rzadko się zdarza w sezonie jesiennym. Wyruszyliśmy pełni otuchy. Niedługo też trwało, zanim znaleźliśmy ślad łosia. Nie trzeba się było ani namyślać ani wahać. Ogromny, pojedynczy ślad świadczył, że pewno byk przed nami kroczy, a lekkie przyprószenie śniegiem wskazywało, że zaledwie godzinę temu przeszedł. Widzieliśmy, że szedł spokojnie i bez pośpiechu, kierując się ku skalnym turniom w pośrodku rewiru. Poszliśmy za nim. Trudna zazwyczaj praca śledzenia dziś była łatwa, jak nigdy. Jak okiem sięgnąć, widniał przed nami ślad, niby droga. Zdala mieliśmy przed oczyma najmniejszą zmianę kierunku. Zresztą łoś, jakby wiedząc, że na nic dzisiaj chytrości, szedł



Okiść. Fot. Morkowski z Bojanowa.

prosto przed siebie i prawie nie zbaczał. Szliśmy prędko i wciąż pod górę. Dotarliśmy w taki sposób do pasma kosodrzewiny brzozowej, stanowiącej granicę zalesienia. Ślad wskazywał dalej; na końcu jego, na przysypanym sniegiem mszarze stał łoś przed krzewem brzeziny i pasł się spokojnie. Obraz był istotnie wspaniały. Szare zazwyczaj upłazy i mszary ubielił śnieg, zaciarając i miękcząc ostre kontury skał. Od tej niepokalanej bieli ostro odcinał się czarną plamą fantastyczny kształt łosia, — wzniesiony wysoko, ciężki łeb, okolony wieńcem rosochów, zwisająca z podgardla broda, ogromny, jakby garbaty tułów na cienkich, szarawych nogach, wszystko to pierwotne, niby grubo ciosane siekierą, — przedpotopowe. Całe to dzisiejsze przeżycie zdawało mi się jakieś nieistot-

ne, jakby wyjęte z prabytu. Wytropiliśmy zwierza, poszliśmy jego śladem i oto stał tu przed nami — ogromny, bajeczny, nieświadom niebezpieczeństwa. Na nic mu się zdały bystre jego zmysły, gdyż staliśmy ukryci, wiatr wiał ku nam, a miękki śnieg stłumił odgłos naszych kroków. Prawda, że, gdybyśmy zgodnie do budzących się w mojej wyobraźni wspomnień łowów pierwotnych, stali tu uzbrojeni w oszczepy i pałki, mało by nam pomogła dotychczasowa przewaga. Te same warunki, które nam ułatwiły podejście, wykluczały obecnie wszelkie zbliżenia. Dzieliła nas od zdobyczy daleka przestrzeń białego całunu, niedająca żadnej możliwości ukrycia. Było istotnie daleko, conajmniej jakie 300 m. Gruba, myśliwska muszka zakrywała zupełnie potężny cel. Pokrywszy zatem komorę, strzeliłem. Łoś, jak zwykle, nie znacząc, ruszył z miejsca kłusem. Oddalał się odemnie na połeć w prawo ku ciemnej ściance skalistych regli. Strzeliłem po raz drugi. Nieznaczne zgarbienie wskazywało na miękki strzał. Za mało widocznie liczyłem się z odległością i szybkością ruchomego celu. Zakładając przed łosia, strzeliłem po raz trzeci. Zwierz, nie zwalniając biegu i wciąż oddalając się odemnie, dobiegał do ścianki reglów. Strzeliłem czwatry raz, zakładając przed niego. Skutek był piorunujący. Jak zając strzelony w biegu, ogromny zwierz zwinął się, dał kozła i przez łeb runął ze ścianki. Znikł mi z oczu. Norweg stojący za mną, wydał okrzyk zdziwienia. Sam stałem jak oszołomiony. Powoli udaliśmy się do stóp owych regli, jakie 2 m. wysokich. Byłem zgnębiony, przypuszczając, że łoś w upadku musiał chyba potrzaskać rogi. Kiedyśmy wreszcie doszli, oczom naszym przedstawił się dziwny widok. Łoś leżał na grzbiecie z nogami sztywno sterczącemi do góry. Rogi do połowy prawie wbiły się w ziemię. Z wysiłkiem dźwignęliśmy ciężki łeb i wtenczas dopiero ciało zwaliło się na bok. Przedewszystkiem poszukałem strzałów. Znalazłem wszystkie cztery: trzy na łopatce, jeden w środku na żebrach. Rogi były nieuszkodzone dzięki temu, że łoś grzbietem padł na brzózkę grubości ramienia, którą ciężarem swoim ułamał przy samej podstawie, rogi zaś pogrążyły się w gruncie bagnistym. Łopaty, choć nie kapitalne, były przecie wcale pokaźne. Od miejsca, gdziem pierwszy raz strzelił, łoś ubiegł jakie 120 m. Niezatartym pozostanie mi w pamięci, niedający się opisać obraz dramatycznej grozy tego upadku ogromnego zwierza.

Kończę na tem swoje wspomnienia, żeby dłużej nie nadużywać cierpliwości czytelników.

Rad będę, jeżeli moje notatki zachęcą którego z młodszych braci w św. Hubercie do zwiedzenia dzikiej, norweskiej kniei i będę mu pomocą w urządzeniu wyprawy.

Cześć myśliwym.

LEON RZYSZCZEWSKI.



FILM ŁOWIECKI.

Po łowiectwie jedną z moich wielkich pasyj jest kino. To też nieraz, siedząc w półmroku, wpatrzony w t. zw. „srebrny ekran", na którym przewijały się sceny jednej z tysiącznych historyj o niemądrej zazwyczaj fabule, zastanawiałem się, dlaczego kinematograf, ten Wielki Surogat Sztuki (będący może zresztą sam sztuką, — nie miejsce tu na rozważania na ten temat), ten wielki popularyzator wszelkich ludzkich myśli i pomysłów, jest tak rzadko — u nas prawie wcale — wykorzystywany dla propagandy szlachetnego łowiectwa.

My, myśliwi, wiemy dobrze, jak często nasze dobre chęci i niemniej dobre wysiłki na polu krzewienia kultury łowieckiej, rozbijają się o pospolite **niezrozumienie** szerszego społeczeństwa. Znamy setki przykładów, że np. w powiecie, gdzie starosta lub przynajmniej jeden z jego referentów jest myśliwym, tam kłusownictwo i pętlarstwo są surowo karane, o miedzę zaś, gdzie w starostwie niema ani jednego myśliwego, kłusownicy i wnykarze grasują bezkarnie i łowiectwo jest na szarym końcu zainteresowań władz administracyjnych. Nie wystarczy tu pisać gorące artykuły w „Łowcu P.", piętnujące „bezczynność" naszych władz... Pamiętajmy, że nasze władze są z krwi i kości naszego społeczeństwa i że atakując w takich wypadkach jakiegoś referenta lub nawet starostę, atakujemy drobną jeno cząstkę tego, co należy zaatakować. **A uderzyć musimy w całe nasze społeczeństwo**, w ów wielki ogół niemyśliwski... Myśliwy myśliwego zawsze zrozumie, zawsze mu przytaknie i dołączy swój głos do ogólnego chóru narzekań. Narzekaniami jednak nie przełamiemy muru obojętności społeczeństwa naszego do spraw i bolączek łowieckich.

Tu pomóc może jedynie propaganda — propaganda umiejętna i nieustanna, stopniowa i wytrwała. W propagandzie tej musimy przedewszystkiem pamiętać, że łowiectwo jest dla niemyśliwego tem, czem są ko-

lory dla ślepego. Że przeto mówiąc z niemyśliwym o ideowem łowiectwie, musimy używać innych argumentów, innych słów, innego „podejścia" do rzeczy...

O tem, jaką ma być propaganda łowiecka, by mogła ona choćby powoli — cegła za cegłą — kruszyć mur obojętności społeczeństwa do łowiectwa, możnaby tomy pisać. Poruszę w tej chwili jeden tylko odcinek propagandy łowieckiej, mówiąc o takiem potężnem narzędziu wszelkiej propagandy, jakiem jest kinematograf.

Byłem przed paru tygodniami na jakimś niemądrym dramacie kinowym, zatytułowanym „W szponach rozpusty", czy też „Tajemnice cytadeli w Dęblinie", — już nie pamiętam. Pamiętam tylko, że występowali tam oficerowie carscy w mundurach huzarów operetkowych z „Jesiennych manewrów" i że była tam scena polowania par force na dziki. Nie o tym głupim obrazie jednak chcę pomówić. Radość moja nie miała granic, gdy po pomyślnie zakończonym dramacie, co już stanowiło samo przez się dostateczny powód do ukontentowania, na ekranie zajaśniał tytuł obrazu, dawanego nad program: „Łowiectwo w Polsce". Tytuł ten wprost mnie zelektryzował, zamieniłem się cały we wzrok.

Niestety, obraz ten mnie rozczarował. Nie dlatego, by nie było w nim momentów ciekawych. Przeciwnie, wszystko od początku do końca było w nim interesujące **dla myśliwego.** Rozczarowałem się dlatego, że owo „Łowiectwo w Polsce" (obraz produkcji krajowej) było — jeżeli chodzi o propagandę ideowego łowiectwa wśród społeczności niemyśliwskiej — jednym wielkim skandalem.

Obraz „Łowiectwo w Polsce" składał się z trzech części: polowania na kaczki na jakimś stawie wołyńskim, polowanie na dziki w kniei poleskiej i sceny wykopywania borsuka z nory. Część pierwsza przedstawiała przeważnie, po za widoczkami wody i szuwarów, zdjęcia trupów kaczych, padających po strzałach do wody. Część druga, stosunkowo najlepsza, miała kilka miłych widoków kniei poleskiej pod śniegiem, parę charakterystycznych zdjęć „poleszuków", gajowych i naganiaczy... Clou jednak tej drugiej części stanowiła scena włóczenia zabitego dzika przez naganiaczy po śniegu. Prawdziwym skandalem (podkreślam: jeżeli chodzi o propagandę łowiectwa wobec niemyśliwych) była część trzecia, obrazująca z najdrobniejszymi detalami rozkopywanie nory borsuczej. Widz miał tam aż zanadto realny i wierny obraz mobilizacji kilkunastu ludzi uzbrojonych w łopaty i flinty, mających do pomocy dwa dobrze ułożone jamniki, przeciwko jednemu nieszczęśliwemu borsukowi. Widz miał tam kolejno obrazy: targania broniącego się borsuka przez dwa rozjuszone „pieski", chwytania głowy borsuczej w widły drewniane i wreszcie, dławienia tegoż borsuka w pętli. A wszystko to z wiernym realizmem ruchomego zdjęcia z natury.

Sam jestem myśliwym zajadłym, sam nieraz brałem udział w kopaniu nor lisich przy pomocy jamników. A jednak nawet mnie — myśliwego — obraz ten przejął niesmakiem. Bo co innego podniecenie myśliwego, biorącego bezpośredni udział w takiem „polowaniu", a co innego oglądanie podobnych „łowów" w kinematografie! Można sobie łatwo wyobrazić, jakie uczucia ogarniały niemyśliwych, patrzących na ten obraz. I co tacy niemyśliwi mówili (głośno lub w duszy) o nas myśliwych, tak lubiących szafować frazesami o umiłowaniu przyrody i obcowaniu na jej łonie.

Taka scena filmowa, jak widowisko borsuka męczonego przez zgraję ludzi i psów, to nie propaganda łowiectwa, lecz wręcz szkodzenie idei szlachetnego myślistwa. Taka scena daje jeno fałszywe świadectwo bankrutującej (niestety, b. powoli), legendzie o krwiożerczości łowców. Taka scena daje broń w rękę sentymentalnym paniom i panom, którzy uważają myśliwych nie za miłośników, lecz za niszczycieli i burzycieli przyrody.

Konkluzja: takich filmów, jak oglądany przezemnie film „Łowiectwo w Polsce", nie wolno demonstrować.

Na ewentualny zarzut, że łatwiej jest krytykować, lecz trudniej dać radę konkretną, odpowiem:

Film jest potężnem narzędziem każdej propagandy, może się też stać doskonałym środkiem propagandy łowiectwa wśród szerokiego, niemyśliwskiego ogółu. Trzeba tylko pokazać temu ogółowi nie sceny mordowania lub męczenia zwierzyny, lecz sceny, malujące ów bądź co bądź serdeczny stosunek myśliwego do dzikiego zwierza, — stosunek opieki i umiłowania przyrody. Tematów takich scen może być bez liku. Mogą to być sceny stada jeleni lub sarn przy paśnikach zimą, albo przepiękne widoki puszcz i rozlewisk poleskich lub kniei górskich, albo sceny defilującej w miocie, zwierzyny, zwłaszcza rzadkiej (łosie), lecz zwierzyny **żywej**, nie zaś włóczonej po śniegu lub „klapniętej" na wodzie. Przykładów możnaby mnożyć bez końca: pomysłowość, dobry smak i intuicja operatora-myśliwego będą tu najlepszym drogowskazem.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



O PŁOCHLIWOŚCI ZWIERZYNY.

Jednym z charakterystycznych rysów stosunku zwierzyny do człowieka, jest w naszem pojęciu płochliwość wobec wszystkiego, co ludzkie.

W świadomości tej wzrastamy już od dziecka, gdy to cichutko, na paluszkach wspinamy się do okna, by, nie płosząc, przypatrzeć się wróbelkowi, któremu posypano okruchy z obrusa. I jakkolwiek to ptasie, szare tałałajstwo, bez człowieka i bez jego kultury obejść się nie może, tak, że z biegiem wieków nabrało wprost cech domowego inwentarza, to jednak umyka co sił w skrzydełkach, gdy tylko czarnym swym paciorkiem dostrzeże choćby włosek z płowej czuprynki młodocianego obserwatora.

Tłomaczymy to sobie lękiem przed mocą człowieka.

Wytłómaczenie krótkie, a co najważniejsza, dla nas bardzo pochlebne.

Czy jednak prawdziwe? Czyżby tu, jak w wielu innych naszych dzisiejszych pojęciach, nie było sporej dozy manji wielkości? Mój Boże; przecież trudno przypuścić, by lwu, tygrysowi, żubrowi czy odyńcowi, tym mocarzom dżungli i kniei, zaprawionym do walk heroicznych i idącym na śmierć bez lęku i skargi, strach przed siłą człowieka dyktował zejście mu z drogi! Toby zakrawało na kpiny.

O siłę groźną nie posądzi nas ten mocarny zwierz. To pewne. Raczej przemyślności mógłby się lękać, ale nie o nią tu chodzi, gdyż o istnieniu jej i potędze wiedzieć mogą tylko te zwierzęta, które zetknęły się bliżej z istotą dwunogą. Ogół nie ma o niej żadnego pojęcia.

Dlaczego więc wszystkie te puszcz imperatory wolą dyskretnie unikać kontaktu z człowiekiem i poprostu umknąć przed nim, choćby nim nawet dziecko być miało?

Nauka, a przynajmniej ci uczeni, których miałem możność poznać, nie zdają mi się dość docieklliwie badać tę kwestję. Na ogół ograniczają się tylko do stwierdzenia, że dany gatunek odznacza się płochliwością w stosunku do człowieka, co jest zresztą notoryczne, i poprzestają na tem, jakby czuli, że to, czego mikroskopem i odczynnikiem nie są w stanie sprawdzić, usuwa się z pod sfery ich rozumowania i wymaga myśli nieskrępowanej formułami: bio-, fizjo-, embrjo- i histologicznemi oraz zimną logiką laboratorjum przyrodniczego. Nie mają też, zdaje się, nic przeciw temu, by wyręczały ich w dalszych badaniach takie właśnie umysły nieskrępowane, bardziej może lotne i niesugestjonujące się materjalistycznymi rezultatami prac laboratoryjnych. Czy słuszny podział pracy? Bodaj, że tak. Gdyż ci drudzy, ci poeci, fantaści zakamieniali, odważyli się istotnie spojrzeć głębiej, niż uczeni. Nie mieli szafki z odczynnikami, brak im było doskonałych mikroskopów; patrzyli tylko przez szeroką soczewkę swego, zawsze rozkochanego serca, tak szeroką, że w żadnym innym, najbardziej uczonym, nie znalazłaby ona miejsca dla siebie. Ale przez nią widzieć też mogli może więcej, niż przez najostrzejszy objektyw aparatu mechanicznego, tak, jak serce matki zawsze lepiej wczuje się w swe dziecko, niż najzdolniejszy, ale obcy psycholog.

Tego, co ujrzeli, nie brali poeci pod mikroskop, ani w retortę chemiczną. Nie poświęcili całego życia na ułożenie formuły i sprawdzanie jej nieomylności. W prawdę tego, co widzieli, wierzyli, i dlatego śmiało o tem opowiadali, wierszem, czy prozą, baśnią, czy legendą, na co kogo stać było.

Jeden z nich, wielki mistrz bractwa miłości przyrody, Kipling, którego spojrzenie głębiej niż innych, biegło, dotarł w swych poszukiwaniach źródła płochliwości, aż do raju zwierzęcego. Panowała w nim zrazu pełna szczęśliwość, podobnie, jak w ludzkim. Walka, zapach krwi, śmierć — nie były tam znane. Wszystkie kochane zwierzaki żyły życiem jednej, zgodnej rodziny; lew obok antylopy, jastrząb we wspólnem gnieździe z kuropatwą.

Aż, kiedyś, sprzykrzyła się im ta sielankowość i pastelowe obyczaje. Egoizm wziął górę i doprowadził do zwad, te zaś do pierwszego zabójstwa.

Nieznany dotąd widok krwi, która zabarwiła nieskalaną dotąd zieleń soczystych traw, ckliwy opar tej dziwnej purpury i drażniący bezruch zabitej ofiary, odurzyły rzesze zwierzęce i napełniły je obawą przed czemś niepojętem. Rajska wspólnota rozprzęgła się. Zwierzęta uczuły, że zaszło coś epokowego, coś, co zasadniczo zmieni warunki ich bytu; coś, wobec czego, prawa dotychczasowe nie wystarczą, by jaki taki porządek panował.

I wtedy zrodziło się Prawo Strachu.

Strach wypędził zwierzęta z raju i zawisł nad niemi po wiek wieków. Strach o własne życie. Strach przed wszystkiem Nieznanem, Niezrozumiałem, Niespodziewanem i Nagłem.

Strach nakazał nieufność wobec wszystkiego, co żyje, a nie należy do własnego gatunku.

I od dnia tego, światek zwierzęcy, rozbity na gromady i gatunki, żyje w bezustannym lęku. Staczający się kamień, nagły powiew wiatru, widok nieznanej istoty, ruch niespodziewany w pobliżu legowiska — wszystko to nakazuje napięcie uwagi i gotowość do ucieczki, bez różnicy, czy o lwa, czy o mysz chodzi.

Nie ten to uzasadniony i zrozumiały lęk odczuwany w obliczu znanego ze swej przewagi przeciwnika, ale lęk wrodzony, odruchowy, lęk, stanowiący osnowę psychiki zwierzęcej, jak osnową naszej, ludzkiej, jest grzech pierworodny.

Ten to właśnie lęk wrodzony i nieświadomy, wypełnia pojęcie płochliwości.

Płochliwość rządzi tak niepodzielnie po za sferą społeczności ludzkiej, że i człowiek jej się nie oprze, ilekroć los zmusi go do osamotnionego życia w naturze.

W tem prawie lęku znajduje się zasadnicza odpowiedź na pytanie, dlaczego zwierz wszystek umyka zazwyczaj co sił w nogach, gdy poczuje obecność człowieka. Człowiek bowiem jest dla niego z reguły czemś Nagłem, Niespodziewanem, Niezrozumiałem i Nieznanem.

Jeżeli tem wszystkiem przestaje być, znika ów podświadomy, wrodzony lęk czyli płochliwość, i wówczas dopiero w grę wchodzi kwestja stosunku sił, i stopnia niebezpieczeństwa. Gdy wypadnie ona nie-

korzystnie w rozumieniu zwierzęcej łepetyny, — następuje świadomy, planowy i rozważny odwrót, w którym brak pierwiastku płochliwości, a występuje natomiast normalna, wszystkim nam wspólna obawa o całość własnej skóry w obliczu znanego niebezpieczeństwa. Gdy zaś porównanie sił będzie pomyślne, dochodzi do mniej, lub więcej życzliwej neutralności.

Każdy z nas niejednokrotnie miał sposobność zaobserwować wypadki, jak zwierzę, najdziksze nawet, pozbywa się tej wrodzonej płochliwości, gdy zapozna się z człowiekiem. Wiemy, nie mówiąc już o zwierzyńcach, że nikt tak blisko nie potrafi dojść do sarny, jak służba leśna. Wiemy, że pastuch, pasący bydło pod lasem, nieraz kijem rzuca za zającem, rogaczem lub dzikiem. Wiemy, że dziki ryć będą kartoflisko o dwadzieścia kroków od strażnika. Wymienione osobniki ludzkie przestały być tym gatunkom czemś nieznanem. Jeżeli zaś zdarzy się, że mimo to umykają przed nimi, to ucieczkę taką przypisać można wrodzonej płochliwości tylko wówczas, gdy zjawienie się gajowego, czy pastucha, nastąpiło nagle i niespodziewanie. Wszystkie inne wypadki i ucieczki wynikają już z innego rodzaju obawy, a mianowicie wówczas, gdy dane zwierzę wyczuje ze sposobu zbliżania się człowieka i jego ruchów, grożące mu niebezpieczeństwo, a porównanie sił fizycznych wypadnie dlań niekorzystnie.

Wiemy jednak równocześnie, że te same sztuki zwierzyny, tak neutralne wobec gajowych i pastuchów, panicznie rejterują przed myśliwym. Ten bowiem przedstawia dla nich naogół coś nieznanego i niezrozumiałego. Po pewnym czasie i z jego widokiem tak się oswoją, że zanika ich wrodzona płochliwość z racji nieznajomości istoty. Dalsze zachowanie się uzależnione już jest od nagłości zjawienia się człowieka w sferze wiatru lub wzroku zwierzyny, względnie od stosunku sił i stopnia niebezpieczeństwa.

Dla ilustracji tych skromnych spostrzeżeń pozwolę sobie przytoczyć trzy wypadki ze swego życia myśliwskiego.

Polowaliśmy raz, zimą, w Korczminie, koło Rawy Ruskiej: zające, rogacze i lisy. Miot szedł za miotem w terenie zwartym. Strzały padały gęste i wraz z nieodłącznym krzykiem naganki wypełniały las hałaśliwym zgiełkiem.

W piątym, czy szóstym miocie, bardzo udatnym, naganka głośno dochodzi już do linji strzelców; niektórzy naganiacze stoją już koło mnie. Przełamuję broń, by wyjąć ładunki, biorę ją na ramię, i w momencie, gdy obracam się, by zejść ze stanowiska, widzę na przeciwległym skraju 5-metrowej linji, o siedem kroków przedemną, łeb lisa, wystający z krzaków sąsiedniego miotu i wpatrzony w cały ten kram. Trwało to zjawisko parę sekund.

Parę lat znowu temu, w Grajewszczyźnie, w drugiej połowie stycznia, stoję na stanowisku w środku kniei wsłuchany w gon. Przedemną o jakie dwadzieścia metrów niski, rozłożysty krzak, za nim rzadka drągowina. Na świeżym śniegu każdy listek opadły odcina się wyraźnie ciemną swą barwą. Miot dość głęboki, a naganka szła powoli i względnie cicho. Względnie, gdyż co chwila na widok ruszonej sztuki wybuchała wrzawa, jak snop iskier z ogniska pod uderzeniem kija.

Sąsiad mój z lewej wygarnął już dwa zające, ja miałem zaszczyt sprzątnąć dubletem dwa inne, puszczone łaskawie przez sąsiada z prawej. Na linji co chwila grzmi jakaś dwunastka. Słowem, hałasu, nieomylnego dowodu obecności człowieka — dość. Naganiaczy widzę już o jakie sto kroków przedemną; ruszają zająca. Kopyra wali na mnie en carriére, wyrzucając tylko łapiętami śnieg pod niebiosa. Jest już na strzał, znika mi przez chwilę w zaspie, dobiega do krzaka, ma go już minąć, gdy wtem w krzaku dzieje się dziwne, a straszne zamieszanie. Z niebywałym łomotem wyrywają dwie sarny i pędzą przed zającem, jak przed jakim gończakiem na zbity łeb. Nic to, że tuż tuż ja stałem, złożony do strzału, że sąsiad mój z prawej, mając mnie widocznie za ślepego, wymachuje rękami, których ku widocznej swej rozpaczy miał tylko dwie. To wszystko mniej było groźne niż ów szarak bałujący się w śniegu za nimi. Tak były tym niespodziewanym atakiem zajęczym przerażone, że nawet strzał mój do kota nie przyśpieszył na jotę ich galopu.

Wreszcie było to na polowaniu w lasach Linowskich powiatu Prużańskiego. Polowaliśmy na dziki. Strzelb było coś aż pietnaście, co przy lekkim mrozie, a ciężkiem piciu dawało w rezultacie dość, jak na dziki, ożywiony zespół. Gdyby wziąć wszystkie nawoływania do ciszy i spokoju, i przypowieści, jak to na dzika cicho trzeba zachodzić, to już to samo wystarczało, by wypłoszyć puch i pióro o milę w promieniu, gdyby ten puch i to pióro było płochliwe wobec człowieka. Tak jakoś dziwnie się złożyło, że towarzystwo karne z początku, aż do śniadania nie widziało ani ogona. Śniadanie rozprzęgło karność i rozwiązało języki. Miot następny dał w rezultacie również zero, bardziej zaś wstrzęmięźliwym okazję do wymówek, iż oczywiście przy takim hałasie nie może być mowy o dziku. Tak sobie gawędząc, bractwo miało właśnie zajmować stanowiska w sąsiednim zaraz miocie. Dochodzimy do flanki, zabieramy strzelbę tam stojącą i posuwamy się linją dalej. Zaledwie uszliśmy 15 kroków od ostatniego stanowiska, gdy z grupki idącej tuż przed nami, pada jeden i drugi strzał, potem regularna kanonada. Co jest? Pokazało się, że w gąszczaku przy samej linji zaległy cztery dziki, nic sobie nie robiąc ani z wrzaskliwej naganki, ani z rozbawionego i rozgadanego towarzystwa.

Wszystkie te trzy wypadki, a mógłbym podobnych więcej jeszcze naliczyć, zdarzały się w terenie regularnie opolowywanym. Wszystkie też stanowią dla mnie poparcie twierdzenia wypowiedzianego powyżej, że człowiek niekoniecznie stanowi przedmiot lęku dla zwierzyny. Że więc nie można mówić o płochliwości jako o istotnym pierwiastku stosunku zwierzyny do człowieka. Płochliwość jest podstawowym pierwiastkiem stosunku zwierzyny do wszystkich napotkanych przedmiotów żywych i martwych, o ile elementy te przedstawiają się jej jako coś nieznanego lub niespodziewanie nagłego. Z chwilą gdy zwierz znajdzie się w sąsiedztwie przedmiotów lub istot żywych, znanych i spodziewanych, płochliwość pierzcha, a w jej miejsce wstępuje wspólne nam wszystkim porównanie sił i ocena stopnia niebezpieczeństwa.

ANDRZEJ LONGCHAMPS.



PRZYSTRZELIWANIE SZTUCERA MYŚLIWSKIEGO.

Dokończenie. (Zob. Nr. 9).

B. PRAKTYCZNE PRZYSTRZELANIE.

Każdy sztucer, opuszczający warsztat sumiennego fabrykanta, zostaje starannie przystrzelany, jednakże prawie każdy myśliwy, amator broni, będzie chciał przystrzelanie to dla swej osobistej satysfakcji sprawdzić. I słusznie, albowiem jest rzeczą dowiedzioną, przy bardzo licznych próbach porównawczych, iż broń przystrzelana zupełnie dokładnie do sposobu celowania, a może nawet do wzroku jednego strzelca, może drugiemu zupełnie nie odpowiadać. Niejednokrotnie spotykałem się z różnicami w punkcie trafienia, wynoszącemi kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt centymetrów na 100 metrów przy strzelaniu w jednakowych warunkach, z jednej i tej samej broni, przez dwuch strzelców równie dobrych, ale przywykłych do odmiennego celowania. Pozatem zdarzają się, aczkolwiek na szczęście rzadko, wypadki przesunięcia przyrządów celowniczych, skrzywienia muszki i t. p. w czasie pakowania, rozpakowania i przewozu, wreszcie, jeżeli nawet wyeliminować te względy naturzy technicznej, pozostaje faktem, iż każdy myśliwy, chcący wykonać dalekie i trudne strzały do zwierzyny, pragnie dokładnie czuć, jak broń jego bije, do czego jest zdolna; przez to samo będzie wiedział, czy ewentualne pudło zaliczyć na karb własnych nerwów, czy na konto broni.

Przystrzeliwanie staramy się przeprowadzić możliwie w tych warunkach, w jakich będziemy strzelać, a więc nie krepując broni w jakiekolwiek imadła i maszyny strzeleckie. Przeciwko temu chciałbym bardzo usilnie przestrzedz, albowiem użycie maszyny może wytworzyć zupełnie fałszywe pojęcie o przystrzelaniu broni, nie mówiąc już o tem, iż dzięki nieumiejętnemu skrępowaniu sztucera w jakiemś imadle własnego wynalazku, można go bardzo poważnie uszkodzić. W większości wypadków, przy użyciu maszyny, sztucer umieszcza środek rozrzutu zupełnie gdzieindziej, niż z wolnej ręki; różnica ta wynosi często przeszło 1 metr, i nie można nigdy określić, jaką ona właściwie będzie. Maszyna jest użyteczna, we wprawnych rękach, dla określenia wielkości rozrzutu, natomiast przystrzelanie należy zawsze wykonywać bez jej pomocy.

Z drugiej jednak strony niemożliwe jest przystrzeliwanie we właściwej postawie strzału myśliwskiego stojąc z wolnej ręki, gdyż postawa ta nie jest dostatecznie pewna i umożliwia zbyt duże odchylenia, których nie można kłaść na karb położenia rozrzutu broni. Przyjęto nagół przystrzeliwać w postawie siedzącej za stołem, na którym umieszczamy kilka worków z piaskiem lub koców zwiniętych, jako opարcie pod lufę broni i ewentualnie pod jeden z łokci. W ten sposób uzyskujemy postawę bardzo stałą i pewną, bez równoczesnego skrępowania lufy broni i powodowania w ten sposób innego położenia środka rozrzutu niż z wolnej ręki.

Do przystrzeliwania broni, zaopatrzonej przez fabrykanta w muszkę i celownik, i przystrzelanej przez niego lub nie, potrzeba nam następujących środków:

strzelnicy o długości najmniej 100 m.;

ciężkiego stołu drewnianego, bardzo stałego i mocnego (strzelamy, siedząc z oparciem);

kilku worków z piaskiem do podłożenia pod lufę i prawy łokieć i

krzesła.

Jako narzędzia zabierzemy: miernik (sprawdzian) o dokładności do $^1/_{10}$ mm, młotek, mosiężny stempelek długości około 20 mm i średnicy 4 — 6 mm, taśmę centymetrową lub „calówkę", pilnik zegarmistrzowski płaski, Nr. 3; pilnik zegarmistrzowski okrągły, najmniejszego wymiaru, arkusz glaspapieru Nr. 0000 na płótnie, wreszcie przecinacz (t. zw. majsel), czyli dłutko ze stali hartowanej do znaczenia kresek na stali.

Czynności nasze są następujące:

Stawiamy na 100 mtr. tarczę z kołem celowniczem, czarnem, tej wielkości, aby się ono odróżniało wyraźnie przy celowaniu. Koło to ma na celu jedynie danie dobrego „oparcia" dla muszki, wszelkie pierścienie nie mają dla nas żadnego znaczenia. Dla wygody najlepiej użyć tarczy t. zw. małokalibrowej „A" o średnicy 50 cm i średnicy koła czarnego 20 cm.

Ustawiamy stół, krzesło i worki z piaskiem tak, aby módz strzelać z oparciem z największą wygodą i pewnością, a więc: worek z piaskiem, dostatecznie

wysoki, jako oparcie dla lufy, inne: pod łokcie, pierś oparta o krawędź stołu. Przed pierwszym strzałem zaczernimy kopciem muszkę, zwykle białą w sztucerach, aby módz celować z większą przecyzją. Broń podczas celowania nie powinna być przyciśnięta do worka pod lufą, a spoczywać na nim swoim ciężarem: natomiast przyciskamy ją dość silnie do ramienia.

Przed strzelaniem przeprowadziliśmy ostrym scyzorykiem bardzo cienką kreskę przez podstawę muszki lub celownika, i tę część szyny, na której jest ona osadzona „na jaskółczy ogon", — jestto czynność bardzo ważna, pozwoli nam bowiem później na dokładne zorjentowanie się w przesunięciach.

O ile chcemy zbadać dokładnie precyzję broni, równocześnie z przystrzelaniem, dajemy najpierw 10 strzałów — z obu luf naprzemian, jeśli chodzi o sztucer podwójny, bez sprawdzania punktu trafienia, i celując stale w jeden i ten sam punkt. Następnie udajemy się do tarczy i wrysowujemy otrzymany rozrzut w prostokąt w ten sposób, aby wewnętrzne skraje przystrzelin najdalszych od środka, znajdowały się na jego bokach. O ile większe boki prostokąta są mniejsze, niż 8 cm, uważamy broń za bijącą bardzo dobrze, dobrym wynikiem nazwiemy rozrzut niewiększy, jak 12 $\times$ 12. (Przyjmując za zasadę, że strzela bardzo dobry i wprawny strzelec).

Równocześnie odmierzamy położenie środka rozrzutu w stosunku do punktu celu, przez który przeprowadziliśmy linję poziomą, zwaną linją „zerową". Chcemy, zgodnie z naszemi poprzedniemi obliczeniami, otrzymać „0" na 200 m, przy „T", niewiększym jak 6 cm, ponieważ nasza broń ma $V_{25} = 850$ m. Chcemy więc, aby na 100 m sztucer „górował" o 6 cm ponad linją celu, czyli linję „0".

O ile broń góruje, obniżamy za pomocą pilnika, bardzo powoli i stopniowo, pierwszą szczerbinę, mierząc co kilka posunięć pilnika, aby nie przekroczyć żądanej poprawki. Jako normę możemy przyjąć, że w broni o długości linji przezierania, czyli odległości od szczerbiny do muszki — około 50 cm, $\frac{1}{2}$ mm stanowi o 10 cm na tarczy na odległości 100 mtr. Może zajść potrzeba pogłębienia szczerbiny, o ile została ona spiłowana na skutek dużego obniżenia celownika, — uczynimy to za pomocą okrągłego pilnika, piłując od strony wylotu lufy, i dążąc stale do nadania odrazu tego kształtu, jaki chcemy ostatecznie mieć, ponieważ na poprawki może nie starczyć miejsca.

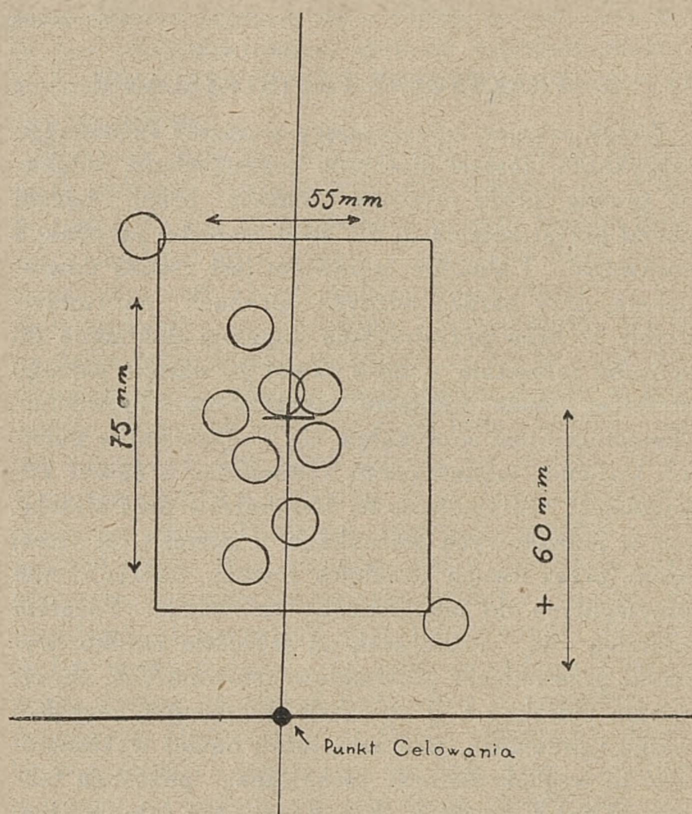
O ile broń dołuje, to sprawa przedstawia się gorzej. Trzeba bowiem albo zastosować muszkę niższą (muszka w kształcie kulki nie daje się piłować), albo użyć drugiej szczerbiny, wyższej, którą spiłujemy na 6 cm, ale wtedy rezygnujemy ze strzałów ponad „X", w danym wypadku — 200 mtr. W większości wypadków opłaci się zamówić niższą muszkę, a zachować celownik wyższy, na wszelki wypadek.

Przesunięcia w kierunku wykonywamy z największą łatwością, stosując również zasadę: $\frac{1}{2}$ mm — = 10 cm na 100 mtr, strzelając starannie przynajmniej po 2 strzały po każdem przesunięciu (1 strzał nie jest miarodajny). Przebijanie muszki w prawo i lewo oraz przesunięcie celownika wykonywamy, uderzając młotkiem o mosiężny stempelek, nigdy zaś bezpośrednio w celownik lub muszkę.

Wykończone po przystrzelaniu przyrządy celownicze powinny mieć — niezależnie od ich kształtu, profil taki, jak podany na rysunkach Nr. 1 i 2 w poprzednim numerze.

Jak widzimy, krawędź celownika od strony strzelca jest ostra i znika pochyło w stronę lufy. Ma to na celu uniknięcie blasku od płaszczyzny celownika. Tak samo i szczerbina winna rozszerzać się ku wylotowi lufy, a nie stanowić poziomego kanału.

Po ostatecznem ustaleniu położenia szczerbiny i muszki, należy zaznaczyć je silnie i wyraźnie cięciem majsla, dobrze jest pozatem zaznaczyć również na podstawie muszki miejsce, nad którem ma się znajdować jej trzonek. W ten sposób, w razie złamania muszki, możemy ją zastąpić inną, ustawiając ją odrazu w prawidłowem położeniu, bez potrzeby przystrzeliwania.



Rys. Nr. 3.

Kopja tarczy strzelanej na 100 m. z trójlufka „Nowotny" 8 $\times$ 60 — 8 $\times$ 60 — 20, własność Józefa hr. Krasickiego

Poczernienie nadpiłowanych części muszki i szczerbiny jest czynnością nader łatwą: Najprostsze są następujące 2 sposoby:

a) Przy ogniu węglowym. Położyć część do poczernienia na podłużnym kawałku blachy żelaznej, blachę położyć na rozżarzonych węglach, poczekać, aż części błyszczące nabiorą matowo-czarnej barwy, następnie zrzucić do oliwy. Po ostygnięciu lekko oczyścić suknem.

b) Na gazie: trzymać w słabym płomieniu gazowym do nabrania formy czarnej, następnie zanurzyć w oliwie.

J. PODOSKI.



ŚREDNIOWIECZNE ŁOWY WE FRANCJI.

Historja sztuki łowieckiej jest bardzo głęboka i szeroka w swem szlachetnem ujęciu tego słowa. Jakkolwiek obecnie zagadnienia łowiectwa traktowane są zbyt szablonowo i po macoszemu, to przecież każdy z nas słucha dykteryjek myśliwskich z lubością wywołującą uśmiech na ustach.

„Polowanie"! — Jak słodko i miło brzmi ten wyraz nasuwający przed oczy nasze, nieskończenie piękne obrazy nautry. Sądzę, iż tylko nasza mowa ojczysta potrafi oddać i fonetycznie odzwierciedlić tym płynnym dźwiękiem nieskoczoność psycho-fizycznych zjawisk, w których cieniu niejedna szlachetna dusza potrafiła się rozpływać wśród lazurowych obrazów. Któryż to z artystów lub mistrzów tej sztuki, nie karmił nas rozkoszą błogich wrażeń myśliwskich! Oni zaiste, stojąc na straży tej prastarej fascynującej tradycji, są bodajże jedynymi leaderami myślistwa, które w porównaniu do wieków średnich bardzo podupadło, ponieważ traktowane jest przez państwo jako indywidualna przejemność, jako kaprys.

Inaczej rzecz przedstawiała się w średniowieczu, kiedy prawo polowania wypływało z ogólnego charakteru ustroju państwowego, szczególnie we Francji, gdzie zdaniem Arthura Young'a — „Senjorzy otaczali się lasami i drapieżnikami". Ponieważ Francja miała wówczas olbrzymie bory i mnóstwo rozmaitego zwierza, więc łowy, tak jak je wówczas urządzano, mogły rzeczywiście roznamiętniać rycerstwo i wypełniać mu życie. W swych warownych zamkach nudzili się feudalni panowie, jeżeli nie musieli jechać na dwór królewski albo na jakie rodzinne uroczystości. Największą więc atrakcją były łowy, konie, psy, tembardziej, że można było wówczas rozwinąć cały przepych rycerskiego rzemiosła. Już taki wyjazd na łowy o rannym brzasku miał coś upajającego. Panowie, ubrani w zielone lub ponsowe szaty, z mieczem i kordelasem u pasa, z oszczepem w ręku, panie na rumakach z Bretanji, przystrojonych rzędami z aksamitów i złotych haftów, w dużych kapeluszach z piórami, w długich czerwonych, kurdybanowych bucikach.

Jeżeli dodamy do wyjazdu na łowy sfory przepysznych psów myśliwskich, ujadających, aby jak najprędzej dostać się do boru, i gry trąb o srebrzystych dźwiękach, to cały obraz mógł obudzić tę namiętność do myślistwa, którą całe społeczeństwo rycerskie wówczas wrzało.

A cóż dopiero powiedzieć o malowniczości powrotu do zamku przy pochodniach odbijających swe wesołe światło o mury i baszty, o rozpogodzonych twarzach myśliwych, którzy z dumą spoglądali na panie swych serc, które również ubiegały się o to, aby być pierwszemi przy „Hallali".

Ambasador wenecki przy Franciszku I, Marino Giustiniani, skarżył się, że przez czterdzieści pięć miesięcy, dwór nigdy nie zatrzymał się dłużej na jednem miejscu, jak dziesięć dni, pędzono bez tchu z okolicy do okolicy, tam gdzie zapowiadano królowi dużo zwierzyny. Włóczęgi myśliwskie Franciszka I po kraju były jakby wyprawami wojennemi; karawana składała się z kilkuset wozów i koni bez liku. A cóż powiedzieć o tych kobietach, potrzebnych i niepotrzebnych paniach, jadących w ogromnej ilości z męskim taborem! Jak Rabelais opowiada, i niektóre zakonnice nie pogardzały łowieckiemi wyprawami i w dłoni trzymały oszczep lub dziryt. Ale widocznie nie wszystkie panie bywały uzbrojone i widocznie nie wszystkim chodziło o ubicie jelenia lub dzika, bo jeden z poetów ówczesnych pyta się: „Comment vas-tu sans armes, à la chasse"? — A piękna towarzyszka (może la femme folle) mu odpowiada: „N'ai je mes yeux, dit — elle, dont je chasse et par lesquelles j'ai maint gibier surpris"? Królowie i feudałowie najbardziej lubili polowanie na daniele, na jelenie, i na dziki. Polowanie z sokołami uważał Franciszek I raczej za zabawkę, aniżeli za prawdziwe łowy. Ale mimo to liczono w jego wyprawach myśliwskich często i pięćset sokołów, gdyż najulubieńszy jego towarzysz łowiecki Louis de Bréré, grand sénéchal Normandji był zapalonym wielbicielem łowów z sokołami.

Łowy i kobiety, to były dwie największe namiętności króla i rycerstwa. Franciszek I. doprowadził zresztą łowiectwo do prawdziwego artyzmu i rzec można, że przyczynił się do niebywałego rozwoju myślistwa w XVI wieku. Ładna piosenka: „Où êtes vous aller, mes belles amourettes"... którą przypisują Franciszkowi I, maluje wybornie ten stan duszy starzejącego się króla, tę tęksknotę za młodością, która tak prędko przekwitła na pięknych łowach.

MICH. BOG. LITWIN.

KRYTYKA O MENELIKU.

W tygodniku „Ra (djo") zamieszczono o wydanej nakładem „Łowca Polskiego" książce p. t. „W Cesarstwie Menelika" recenzję pióra p. Z. K., w której czytamy:

Literatura nasza nie może się, niestety, poszczycić nadmiarem dzieł podróżniczych. Jesteśmy naprawdę narodem bardzo osiadłym. Po za nielicznymi wyjątkami (no, i emigracją, oczywiście!) wędrujemy przeważnie po bardzo utartych szlakach. Tem większą uciechę sprawia nam książka, opiewająca dzieje wyprawy egzotycznej.

Taką książkę wydał właśnie, po powrocie z łowów w Abissynji, znany sportsman, pan Czesław Odrowąż-Pieniążek. Wybrał się do tajemniczego państwa Menelika głównie w celach myśliwskich. Potrafił jednak uwypuklić w swoim djarjuszu łowieckim tyle scen kapitalnych, potrafił oddać wiernie tyle perypetyj podróżniczych, że jego djarjusz czyta się z ogromnem zainteresowaniem. Naprawdę, nie było oddawna, w tym dziale literatury, takiej bezpośredniej, prostej, a jednocześnie fascynującej, opowieści!

Czesław Odrowąż-Pieniążek, chłop naschwał (tę niedyskrecję chyba nam wybaczy?) wybrał się w podróż sam jeden. Nie miał do dyspozycji, ani aut, ani oddanych sobie strzelców. Zorganizował samodzielnie malutką karawanę łowiecką... i w towarzystwie paru (niebardzo pewnych) dzikusów przemierzył wzdłuż i wszerz matecznik abisyński. Podróży tej nie towarzyszyła żadna specjalna reklama. Nie finansowało jej żadne potężne towarzystwo filmowe. Autor „W Cesarstwie Menelika" polegał raczej na własnem zdrowiu i sile pięści: czasami zupełnie dosłownie. Polegał na własnym instynkcie łowieckim i dopiął swego.

Rozpowszechniło się u nas mniemanie, że na takie egzotyczne łowy może sobie pozwolić tylko miljarder. Otóż książka Czesława Odrowąż-Pieniążka poucza nas o tem, że można się ważyć na podobną imprezę, rozporządzając względnie skromnymi środkami. I to jest jeden wdzięk (autora) więcej... Druga, znacznie liczniejsza i znacznie możniejsza ekspedycja, składająca się przeważnie z niemców, skończyła się w tym samym czasie zupełnem fiaskiem. Mamy tedy wyrazistą ilustrację trudności, z jakiemi nasz sympatyczny rodak walczył zwycięsko.

Myśliwi przeczytają „W Cesarstwie Menelika" ze specjalną uciechą. Nie codzień zdarza się przeżywać emocje polowań na gazele, leopardy, hipopotamy, etc. Dodajmy do tego, że narracja jest żywa, tempo opowieści brawurowe, obserwacje — inteligentne i pełne humoru.

Prawdziwą ozdobą książki Czesława Odrowąż-Pieniążka jest mapka, znajdująca się na samym końcu. Wykonana z wyjątkowym pietyzmem, stanowi nietylko dobry przewodnik po odbytej przez myśliwca naszego trasie — ale i cenny wykład geograficzny, który niewątpliwie ocenią pióra fachowe. Liczne rysunki i fotografje uzupełniają całość.

„W Cesarstwie Menelika" wyszło przy współudziale brata autora, p. Jerzego Odrowąż-Pieniążka. Kollaboracja ta jest w naszych warunkach miłym fenomenem. „Łowiec Polski" wydał to dzieło swoim nakładem. Mamy nadzieję, że postara się w dalszych wydaniach o szatę jeszcze okazalszą.

KORESPONDENCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

RATUJMY ŁOSIA.

Nawiązując do mojej korespondencji z powiatu Szczuczyńskiego z lipca ub. r. w sprawie zgładzenia przez miejscowych kłusowników dwóch łosi: klępy z cielęciem, donoszę, że zbrodniarze z Ciszewa nie ponieśli w sądzie grodzkim zasłużonej kary, gdyż sterroryzowani przez nich świadkowie, jedni zaniemówili nagle na rozprawie, drugim bielmo padło na oczy i niczego nie widzieli, główny zaś świadek oskarżenia, leśniczy Krzywicki wzbraniał się wyjawić naocznego świadka tej ohydnej zbrodni, rzekomo związany do tego słowem. Sąd bone fide przyjął do wiadomości wyjaśnienie oskarżonych, że skórę znaleźli, i uwolnił oskarżonych. Musimy więc uwierzyć w fenomenalne zjawisko: łosie ze strachu pozostawiły bandytom swoje piękne skóry, a ratując resztę swych doczesnych szczątków, uszły do swej ostoi na Czerwone Bagno. Może kiedyś doczekamy się w naszej literaturze, niesamowitą wprost grozą przejmującej jednej z nowel Małaczewskiego: „Koń na wzgórzu", jako pendant do niej: „Łoś na Czerwonem Bagnie".

Rzecz jasna, że w tych warunkach ewentualny rekurs wyżej nie miał widoków powodzenia. Epilog tej sprawy rozegra się jeszcze w starostwie za nielegalne posiadanie przez oskarżonych, broni, naruszenie cudzego terenu i sprzedaż skóry, co mimo wszystko na rozprawie zostało ujawnione.

Sam fakt jednak systematycznego a bezkarnego wytępiania u nas tej królewskiej zwierzyny, wprost na zagładę skazanej, niepokoi już nietylko świat myśliwych, ale i szerszą opinję publiczną. W r. 1920 a więc po ustaniu już zawieruchy wojennej, było w państwowem leśnictwie Tojno na Czerwonem Bagnie 12 łosi. Statystyka urzędowa D. L. P. Siedlce (Kalendarz myśliwski 1929 r.) wykazuje w uroczysku Czerwone Bagno 6 sztuk. (W Kalendarzu mylnie podano w nadleśnictwie Białostockiem 10 sztuk, gdyż tam łosi niema zupełnie). Obecnie w r. 1930 a więc po dziesięciu latach na ostatniej ponowie zliczono dokładnie 5 sztuk, słownie: pięć, i stwierdzono, że nigdzie się nie wyniosły. Uroczysko to wprost wymarzone dla łosi, w lecie niedostępne bagna, pokryte karłowatą sosną i brzozą, miejscami dąb bagienny,

całość otoczona olbrzymimi obszarami łąk nadbiebrzańskich. Obecnie utworzono tam rezerwat, lecz niestety, objęty ze wszech stron kłusownikami ze wsi: Grzędy, Orzechówka, Wozna Wieś, Kuligi, Ciszewo, Pięczykowo. I z tej strony grozi tym ostatnim z Mohikanów bezwzględna zagłada i tu należy, póki jeszcze czas, skoordynować wszystkie środki i siły, by wytępić tę plagę kłusowniczą doszczętnie. Spełnienie tego wielkiego i niełatwego zadania spoczywa przedewszystkiem na nadleśnictwie Rajgrodzkiem i policji, która złożyła już niejednokrotnie dowody, że potrafi ofiarnie w tym kierunku spełnić swój obowiązek. Są przecież u nas towarzystwa ochrony zabytków przyrody i tu się otwiera dla nich wdzięczne pole do działania. W sprawie ochrony łosia wypowiedział również przed kilkoma tygodniami w Kurjerze Warszawskim swoje groźne memento p. F. Ossendowski i te słowa tego wielkiego znawcy przyrody, podróżnika i pisarza nie powinny pozostać bez echa, by nasz łoś podzielił tragedję żubra białowieskiego. Przecież i Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich będzie miał w tej sprawie także sporo do powiedzenia i ten powinien pierwszy pośpieszyć na ratunek ginącego łosia!

Caveant consules!

Grajewo, dn. 11 lutego 1930 r.

M. P.

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu Wydział Wykonawczy zatwierdził następujące kandydatury na delegatów powiatowych Związku:

w pow. Brzeziny, woj. Łódz., p. Oskar Knothe, zam. Tomaszów Maz., Browar;

w pow. Puławy, woj. Lub., p. Przemysław Kleniewski, Opole, Kluczkowice; p. Wincenty Radys ewicz, Karczewiska.

Lista ogłoszona 3-ci raz.

Kronika myśliwska.

Z polowań Przemyskiego Klubu Łowieckiego.

—J.Wł.K.— Dnia 16.XI.1929, wieś Stubienko, strzelb 13, ubito 41 zajęcy. Dnia 23.XI.1929, wieś Borszowice, strzelb 16, ubito 19 zajęcy. Dnia 30.XI. 1929, wieś Szechynie, strzelb 12, ubito 19 zajęcy. Dnia 7.XII.1929, wieś Orzechowce, strzelb 24, ubito 45 zajęcy. Dnia 14.XII.1929, wieś Hurko, strzelb 14, ubito 31 zajęcy. Dnia 21.XII.1929, wieś Batycze, strzelb 12, ubito 44 zajęcy. Dnia 28.XII.1929, wieś Medyka, strzelb 14, ubito 31 zajęcy. Dnia 11.I.1930, wieś Małkowice, strzelb 17, ubito 40 zajęcy.

Ogółem w minionym sezonie ubito 267 zajęcy. Jest to pokot nader dobry; lepszy niż w roku 1928/29. Zeszłoroczna, sroga zima nie wpłynęła zupełnie ujemnie na stan zajęcy, przeciwnie, wzmogła go na terenie powiatu Przemyśl.

—J.Wł.K.— Na polach miasta Dobromila polowano dnia 21.XII.1929 r. Przy udziale 14 strzelb ubito 13 zajęcy, zaś dnia 11.I.1930 r. w 8 strzelb ubito 6 zajęcy. Jest to stan bardzo nikły; znaleziono mnóstwo ideł, oraz parszywego lisa złapanego w sidła.

—J.Wł.K.— Wykaz polowań, odbytych w Państw. Nadleśnictwie Dobromil, przedstawia się następująco: Dnia 16.XI.1929, wieś Hubice-Kowalowa, 9 strzelb, strzałów 18, padło 5 szaraków i 2 lisy. Dnia 23.XI.1929, wieś Hubice-Jamki, strzelb 11, strzałów 37, padło 11 zajęcy i 2 lisy. Dnia 30.XI.1929, wieś Hubice-Rezerwat, strzelb 11, strzałów 32, ubito 10 zajęcy. Dnia 7.XII.1929, wieś Kniaźpol-Debry, strzelb 5, strzałów 2, padły 2 zające. Dnia 14.XII.1929, wieś Hubice-Kopań, strzelb 7, strzałów 27, zajęcy 12 na pokocie. Dnia 24.XII.1929, wieś Hubice-Potoczyna, strzelb 4, strzałów 12, padło 7 zajęcy. Dnia 31.XII. 1929, wieś Hubice-Szlamówka, strzelb 6, strzałów 8, padły 2 zające. Dnia 10.I.1930, wieś Leszczyny-Pasieka, strzelb 8, strzałów 14, ubito 3 zające i 2 lisy. Dnia 11.I.1930, wieś Leszczyny-Turnica, strzelb 8, strzałów 23, ubito 9 zajęcy i 4 lisy.

Ogółem polowano przez 9 dni, oddano razem 173 strzałów i położono pokotem 61 zajęcy i 10 lisów. Wyniki te nie są świetne, jednakowoż doskonała pogoda i piękna okolica wynagrodziły braki w pokocie. W tutejszej kniei trzymały się dawniej stale dziki, obecnie, z powodu braku odpowiednich ostoi i gąszczów, a także żeru, bo w ostatnich latach ani dąb, ani buk nie zarodziły, wywędrowały w inne okolice i zdarzają się tylko w przechodzie.

—o— W Glince pow. buczackim u Erazma hr. Korytowskiego dnia 10 stycznia padły 2 lisy i 13 zajęcy, z których kilka ubito kulami.

W Zaleszczykach tegoż hr. Korytowskiego dnia 11 stycznia w 10 strzelb ubito 80 zajęcy, 2 lisy i 10 bażantów.

—o— W Wiszence u pp. Stanków pod Dublanami dn. 18 i 19 listopada padło 67 zajęcy i 5 lisów, z czego p. Wład. Makomaski zabił 12 zajęcy i 2 lisy.

—o— W Rozhurczu i Łukawicy br. Barańskich w Małopolsce dn. 13 i 14 listopada padło 15 dzików, 3 lisy i sowa uralska. Z dzików 1 ważył 220 kg., drugi 210.

—o— W Załużu pow. liskiego dn. 4 stycznia padło 7 dzików, 8 zajęcy i lis. P. Jarochowski zrobił dublet do dzików, a 10-letni syn gospodarza położył 2 zające i lisa.

—o— W Okołowicach i Jarzębinie pow. radomskowskiego dn. 30 grudnia padło 211 zajęcy, z czego p. St. Kotkowski zabił 45.

—o— W pow. Kamionka Strumiłowa w Rudzie Sieleckiej dn. 24 grudnia padło 15 zajęcy; w Bratowie dn. 28 grudnia 51 zaj. i lis; w Spasie dn. 31 grudnia 33 zaj. i lis.

—o— W Rożyskach i Łuce w Małopolsce u p. Kaz Grocholskiego w listopadzie padło 11 lisów.

—o— W Horach w Małopolsce u pp. Ksaw. Jaruzelskich w listopadzie zabito 2 dziki, 7 lisów i 11 bażantów.

Wiadomości bieżące.

Ś. p. Edward Münter, członek Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zmarł w 74 roku życia. Był to wybitny znawca łowiectwa i doskonały strzelec.

— **Przeciw podwójnemu obostrzeniu.** — Liga ochrony zwierząt postanowiła zwrócić się do władz z prośbą o zmianę przepisów, dotyczących psów na ulicach. Dotychczasowe przepisy wymagają, aby psy były zawsze w kagańcach, nawet wtedy, gdy się je prowadzi na smyczy.

Pod tym względem Warszawa jest wyjątkowo sroga dla psów. We wszystkich województwach, które wydają lokalne przepisy na zasadzie rozporządzenia, dozwolone jest prowadzenie psów na smyczy bez kagańców. Tak jest zresztą i zagranicą.

Liga ochrony zwierząt powołuje się na to w memorjale i wyraża pogląd, że niema specjalnych powodów do obostrzonych przepisów w Warszawie.

— **Pokaz psów i zwierząt futerkowych.** — W hali papierniczej P. W. K. w Poznaniu odbyło się otwarcie pokazu hodowli drobiu, gołębi, królików, zwierząt futerkowych i psów. Wystawa dzieli się na 10 oddziałów. Uwagę zwraca wylęgarnia dla 200 kur i termos na 200 jaj. Okazy zwierząt są wspaniałe, śliczne są także liczne psy rasowe.

— **Walka z kłusownictwem.** — W przeciągu stycznia roku bieżącego w województwie lubelskiem skonfiskowano kłusownikom 93 sztuki broni myśliwskiej, 23 sztuki sideł i wnyków, 19 sztuk zwierzyny, 7 karabinów, 3 lufy karabinowe, 11 rewolwerów, 2 flowery i 4 skórki zajęcze.

— **Kłusownictwo.** — W dn. 28 stycznia Józef Kurak, ze wsi Płatkownica, pow. węgrowskiego, spotkał polującego kłusownika, którego chciał zatrzymać. W chwili przybliżania się Kuraka, kłusownik dał do niego strzał z posiadanej strzelby, raniąc go w nogę.

— **O hodowlę psów.** — Związek hodowców psów rasowych przy Centr. Komitecie do spraw hodowli drobiu ogłosił, iż istnieje stałe zapotrzebowanie na psy policyjne, nadające się do służby śledczej. Dlatego też należy zająć się produkowaniem odpowiednich psów w kraju, by uniknąć importowania psów z zagranicy.

W zaniedbaniu jest też hodowla owczarka polskiego, który posiada duże zalety użytkowe. Zamiast tedy prowadzić hodowlę psów luksusowych, należałoby raczej zwrócić większą uwagę na psy użytkowe, nie wyłączając oczywiście i psów myśliwskich.

— **Podatek od psów.** — W Poznaniu zatwierdzono zmianę dotychczasowego statutu o poborze miejskiego podatku od psów. Od opłaty wolny jest jeden pies łańcuchowy do pilnowania gospodarstwa, trzymany na uwięzi po za obrębem budynku mieszkalnego. Podatek wynosi rocznie za każdego pierwszego psa 40 zł., za drugiego 60 zł., za każdego następnego 100 zł. Za psy trzymane na handel, lub w tresurze 40 zł. za każdego psa. Zmiana obowiązywać będzie od 1 kwietnia.

— **Przy czatowaniu na jastrzębie.** — W plutonie łączności 2 baonu „Berezno" szer. Czarnecki Wojciech czatował na jastrzębie przy wypuszczaniu gołębi pocztowych z gołębnika, trzymając w ręku naładowaną strzelbę, którą manipulował tak nieostrożnie, iż spowodował wystrzał, raniąc się ciężko w prawy bok. Rannego odwieziono do szpitala, gdzie tegoż jeszcze dnia zmarł.

— **Panie i młodzież.** — W Anglji coraz więcej pań uczestniczy w polowaniach, zwłaszcza „par force". Zdarzają się już wypadki przewagi ilości dam między uczestnikami polowań. Pozatem coraz częściej widzieć można tam obecnie młodzież obojej płci, biorącą żywy udział w polowaniach, początkowo tylko pod opieką starszych.

Ogromny tchórz. W świetnie utrzymanym i rozwijającym się zwierzyńcu w Zamościu, zginęło obecnej zimy kilkanaście królików, a ostatnio dwa gołębie, bażant i dwa rasowe króliki, zagryzione — jak się potem okazało — przez tchórza. Zwierzęta te przepadały mimo gęstej siatki i nowych desek, oraz ocementowania, wpuszczonego do ziemi na głębokość 2/3 metra. Nastawione przynęty i żelaza — stały nietknięte. Profesor Stefan Miler, kierownik zwierzyńca, ogłosił w gimnazjum obławę na szkodnika. Wzięto się do rozkopywania nor króliczych; niebawem odkopano dwa gołębie, oskubanego bażanta i królika; jeszcze kilka uderzeń kilofem w ziemię i z nory wyskoczył tchórz-morderca. Przyciśnięty butem do ziemi i kilkakrotnie zdzielony pogrzebaczem przez woźnego Mikołaja, zginął pod nogą profesora Milera. Był to niezwykły okaz. Łeb i kark, oraz tułów, jak u domowego, spasionego kota, i gdyby nie krótkie nogi, możnaby go śmiało przyjąć o zmierzchu za kota. Dobrał się do zwierząt przez tak modne dziś podkopy... Nie dał się żywcem uchwycić—szkoda! Byłby jeden więcej piękny okaz w zwierzyńcu, a tak poszedł za szkło do gabinetu zoologicznego.

J. WŁ. KOBYLAŃSKI.

Z WYDAWNICTW.

„Przemysł Skórny" rok XVII numer 6 z dnia 5 lutego 1930 r. zawiera aktualne artykuły ogólno - gospodarcze, jak: „O ubezpieczeniu kredytów eksportowych"; „Konwencja o rozejmie celnym, czy konferencja gospodarcza państw"; „Jak się robi interesy za oceanem?"; następnie z zakresu branży skórzanej znajdujemy tam artykuły p.t. „Hodowla zwierząt futerkowych w Kanadzie i Austrji"; „Łapanie zwierzyny w celach hodowlanych"; „Hodowla lisów srebrnych"; „Wykaz firm pomorskich, zajmujących się skupem skór surowych i gotowych"; informacje o ogólnem położeniu na rynku skór, o aukcjach skórnych w Niemczech, o zbycie skór w Austrji, o Targach Lipskich, wreszcie interesujący dział „Informator Techniczny".

Morski numer jubileuszowy „Przemysłu Skórnego" zawiera prócz specjalnego działu morskiego, obfitującego w oryginalne prace wybitnych znawców, bogaty dział ogólno branżowy, dalszy tok dyskusji na temat normalizacji skór surowych, art. p. H. Grudzińskiego proponujący stworzenie wzorem Szwajcarji, Komisji Kontrolnej Uszkodzenia Skór. Pozatem zawiera ten powiększony numer aktualne informacje z dziedziny handlu i przemysłu skórnego, niezbędne dla każdego fachowca.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

„Postrzelony".

— „Nie-dzielny" myśliwy (po „postrzelonego" naganiacza):

— Masz 50 zł. i nie gadaj nikomu!

Ranny: to kosztuje extra 10 zł.

Myśliwski opis kradzieży.

„Dziennik Poznański" podaje taką wiadomość w kronice:

„Wspaniałe łowy współczesnych nemrodów. Anonimowe gorno myśliwych, polujących zawodowo na portfele i zegarki, nabrało ostatnio chętki do łowów na dziczyznę. Bez naganki, ale za to posługując się mistrzowskim podchodem, skradli myśliwcy 78 zajęcy, wartości 800 zł., p. Edmundowi Królowi (ul. Dąbrowskiego)".

Aforyzm wróbla.

„Gdybym był orłem, to nie mógłbym tarzać się w śmieciach, lepiej więc, że jestem wróblem".

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.